



Victoria Chell

Wszyscy
umierają

Victoria Chell

Wszyscy umierają

© Copyright by Victoria Chell & e-bookowo
Grafika na okładce: Victoria Chell
Projekt okładki: Victoria Chell & e-bookowo
Korekta: Patrycja Żurek

ISBN 978-83-7859-534-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2015

*Dla tych, którzy umarli. Może tylko trochę.
Może trochę za bardzo.
I dla tych, którzy nie wierzą.
Przede wszystkim w siebie.*

„Życie jest tylko przechodnim półcieniem,
Nędznym aktorem, który swą rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie
W nicość przepada – powieścią idioty,
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą”.

– William Shakespeare, *Makbet*

Rozdział pierwszy

Garstka popiołów

„Noises, I play within my head.
Touch my own skin and hope that I'm still breathing”

– Ellie Goulding, *Lights*

Ludzi może zmienić wszystko. Najpotworniejszą bronią, prowadzącą do ich wewnętrznej zagłady są jednak rozczarowania. Był ciepły wieczór. Słońce zmierzało ku zachodowi, a znudzona dziewczyna bazgroliła po okładce zeszytu, udając zajęętą. Nie, nie lubiła z nim rozmawiać przynajmniej od pewnego czasu, także każdy pretekst prowadzący do ciszy był dobry. Przez uchyloną szybę napływały rozkoszne zapachy skoszonej trawy i popołudniowego deszczu. Wtedy widziała, że wszystko żyje. Rzadko zdawała sobie z tego sprawę. Życie było w niepozornych uśmiechach mijanych ludzi, jak również w śpiewie ptaków czy szumie roztańczonych liści. W samochodzie wyczuwało się jedynie śmierć. Śmierć spojrzeń, śmierć uczuć, śmierć jakichkolwiek słów. Teraz niezwykle ironiczny wydaje się fakt, że owa śmierć naprawdę zawładnęła czyjąś egzystencją...

Sophie urwała, odrzucając zeszyt na białą poduszkę. Co za bezsens, pomyślała. Teraz był początek września, a ona siedziała na zaścielonym, szpitalnym łóżku i czekała na przyjazd siostry, która nareszcie miała zabrać ją do domu. Obudziła się tydzień temu po półtoramiesięcznej śpiączce. Kiedy lekarze stwierdzili, że wszystko jest w porządku, Sophie zażądała wypisania ze szpitala. Czuła, że już do końca życia będzie miała fobię na jego punkcie.

Dziewczyna westchnęła i podeszła do okna. Było późne popo-

ładnie, a jej siostra miała przyjechać już jakieś czas temu, jednak wciąż jej nie było. Sophie ze znużeniem wpatrywała się w parę starszuchów siedzących na ławce w niewielkim szpitalnym ogrodzie. Ciekawe czy są małżeństwem? zastanawiała się. Wyglądają tak, jakby znali się od wieków...

Jej wzrok błdził po każdym elemencie pistacjowego pokoju, byleby nie skupiać się na czarnym zeszyte z perłowymi kartkami. Pisała od dziecka, uwielbiała to robić, ale teraz stało się to niemal wyzwaniem, nie zwykłą pasją. Nie potrafiła przypomnieć sobie momentu wypadku. Nie wiedziała, co się wtedy stało. Ale pamiętała każdy wcześniejszy szczegół, jak na przykład to, że chwilę przed uderzeniem w radiu leciał kawałek *Don't you worry child*. A później słyszała tylko swój krzyk, który dobiegał jakby z oddali. Oczy ojca były rozszerzone ze strachu. To ostatni obraz, jaki zapamiętała. Jego ostatni obraz.

To takie dziwne. Potrafiła się z nim dogadywać, chociaż w pewnym sensie nie mogła znieść jego obecności. Teraz już go nie było, a ona nie czuła nic. Kiedy tuż po przebudzeniu matka poinformowała ją o tragedii, jaka miała miejsce lipcowego wieczoru, dziewczyna spojrzała w sufit i nie odezwała się ani słowem. Czuła się może lekko pusta w środku, jednak nie smutna... Nie umiała zdefiniować swojego stanu, ale wiedziała, że nie jest do końca normalny. Ja nie jestem normalna, stwierdziła.

– Przepraszam, zatrzymali mnie w kancelarii – wyjaśniła pośpiesznie Christine, wysoka, ładna blondynka o dużych jasnobrązowych oczach. Tuż za nią wszedł Richard, jej narzeczony, którego Sophie szczerze nie znosiła, a tolerowała go głównie przez wzgląd na matkę. Richard, pomyślała z niesmakiem, nie Rick, nie Ricki, tylko zawsze Richard. Był taki przewidywalny. – Jesteś spakowana? – zapytała, wpatrując się w domkniętą torbę.

– Nie, przez dwie godziny stałam i z utęsknieniem wypatrywałam cię przez okno – powiedziała zirytowana Sophie.

– Przynajmniej sarkastyczna jesteś jak dawniej – skwitował Ri-

chard, opierając się o framugę drzwi. Synek bogatego tatusia z zawsze nienagannym wyglądem. Pracował w dużej firmie rachunkowej, rzecz jasna należącej do jego ojca.

– Wszystko dla ciebie – Sophie uśmiechnęła się słodko, a następnie wsunęła czarny zeszyt do torby i sięgnęła po walizkę, kierując się do wyjścia.

– Richardzie, pomóż jej z tym. Jest jeszcze osłabiona – powiedziała rzeczowym tonem Christine, tak jakby Sophie przy niej nie było. – Nie rozumiem, dlaczego chciała się już wypisać, jest taka nieodpowiedzialna...

– Na dodatek jeszcze nie głucha. Nie jesteśmy na rozprawie sądowej, więc daruj sobie ten idiotyczny ton i chodź już – mruknęła dziewczyna, zmierzając do windy.

Sophie pożegnała pielęgniarki i kilku pacjentów ciepłym uśmiechem, a następnie z założonymi rękoma ruszyła z Christine i Richardem do głównego holu. Kiedy wychodziła ze szpitala, niemal naparło na nią ciepłe powietrze, charakterystyczne dla początkowej fazy jesieni. Z wielką ulgą zaczęła je wdychać, rozkoszując się wolnością.

Kiedy Richard pakował rzeczy do bagażnika, usadowiła się wygodnie na tyle srebrnego Mercedesa ML 320. Jej siostra z kolei zajęła miejsce obok kierowcy.

– Pasy – zakomenderowała, a Sophie przewróciła tylko oczami, zirytowana jej nagłym przewrażliwieniem na punkcie bezpiecznej jazdy.

Kwadrans drogi dzielący ich od ulicy, na której mieszkała Sophie, pokonali w milczeniu. W radiu rozbrzmiewały kojące utwory Bacha, ponieważ Richard był fanem muzyki klasycznej. Cały jesteś klasyczny – uznała coraz bardziej rozdrażniona – ale przynajmniej masz elegancki gust. W końcu zajechali pod biały dom z dużym gankiem na całej szerokości budynku. Zielony trawnik otaczał równo przystrzyżony żywopłot, a na tyłach posiadłości znajdowało się podwórkę z szeroką, ogrodową huśtawką i zestawem do

grillowania.

Sophie, odrzucając pomoc Christine, ruszyła do środka, taszcząc ze sobą bagaż. Wnętrze wydało się takie znajome i obce jednocześnie. Te same beżowe ściany i mahoniowe komody, na których stały wazony z bukietami kwiatów. Salon z kanapami w kolorze kawy z mlekiem, przestronna kuchnia i przestrzeń kuchenna połączona z jadalnią. A gdzieś na samym końcu krył się gabinet ojca z obszerną biblioteką, w której Sophie tak często przebywała, kiedy jego nie było w domu.

Dziewczyna już zamierzała udać się na piętro, jednak zatrzymał ją głos matki, która wychodząc zza kuchennej lady, zawołała z przejęciem:

– Och, jesteście już, tak się martwiłam, że nie zdążycie – powiedziała, podchodząc do Christine i mocno ją ściskając, a następnie to samo czyniąc z Richardem. No jasne, pomyślała Sophie, zawsze to samo.

– Mam nadzieję, że nie sprawiła wam kłopotów? Sami wiecie, jaka jest uparta... – zaczęła wysoka Madeline Leftwich, kobieta o jasnych włosach, sięgających do ramion, i oczach trochę ciemniejszych niż te starszej córki. Sophie zawsze jej wzrok przyprawiał o dreszcz niepokoju – nigdy nie wiedziała, czego ma się spodziewać.

– Trochę marudziła, ale ostatecznie poddała się mojemu urokowi i dała za wygraną – zażartował Richard, podczas gdy ciemnowłosa dziewczyna zacisnęła dłonie w pięści i ruszyła po drewnianych schodach na górę. Ani jeden stopień nawet nie zaskrzypiał pod jej ciężarem, bowiem wszystko w domu Leftwichów zawsze musiało być idealne. Niestety nie dopasowałam się do wystroju, stwierdziła ze złością.

Sophie z wielką ulgą otworzyła białe drzwi na samym końcu korytarza, prowadzące do przestronnej sypialni w słonecznym kolorze. Z westchnieniem położyła walizkę na dużym łóżku wyściełanym poduszkami, naprzeciw którego znajdował się regał wy-

pełniony zniszczonymi od dotyku książkami i płytami ulubionych zespołów. Jedna ze ścian oklejona była zdjęciami i dyplomami, natomiast w rogu znajdowały się drzwi z wysokim lustrem, prowadzące do garderoby.

Przy węższym oknie stało białe biurko, na którym panował istny chaos. Dziewczyna z trudem odnalazła laptopa i, siadając na parapecie, zalogowała się na pocztę. Czekając na rezultaty wydanego polecenia, wyrzała na główną ulicę. Nic się na niej nie działo, jak zwykle. Koniec końców o tej porze wszyscy wciąż przebywali w pracy lub szkole... Szkoła, pomyślała z przerażeniem. Trzy dni temu rozpoczął się nowy rok szkolny.

Dziewczyna odłożyła komputer i zaczęła grzebać w dokumentach zaśmiecających blat stołu. W końcu odnalazła listę przedmiotów i podręczników oraz nowy plan lekcji. Rezygnując z przeglądu korespondencji wyjęła torbę w karmelowym kolorze i przełożyła ją przez głowę, wrzucając do niej telefon, portfel oraz listę potrzebnych rzeczy. Przed wyjściem skierowała się jeszcze do lustra i przyjrzała sobie uważnie. Ciemnobrązowe, długie włosy ściągnięte były w wysoki kucyk, który poruszał się wraz z każdym ruchem głowy. Pod szarymi oczami widniały ciemne cienie, które świadczyły o wyczerpaniu dziewczyny. Sophie ubrana była całkowicie na czarno, co mogłoby stwarzać dość ponury efekt, jednak pasował jej ten kolor. Dodawał wyglądowni tajemniczości, ale i zaskakującej lekkości.

Przemykając po schodach słyszała chichoty i krzątanie dobiegające z kuchni. Pewnie nawet nie zorientują się, że mnie nie ma, uznała wychodząc z domu. Wkładając ręce do przednich kieszeni dżinsów, szła przed siebie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Kiedy w końcu zaczął dochodzić do niej gwar miasta, klaksony samochodów i szmery rozmów przechodniów, wiedziała, że znalazła się w centrum życia.

Przechodząc przez aleję, weszła do niewielkiej księgarni, której właścicielką była pani Sullivan, staruszka mieszkająca niedaleko jej

szkoły. Miejsce to świeciło praktycznie pustkami w odróżnieniu od pozostałych, mijanych wcześniej, sklepów. Jednakże Sophie lubiła ten spokój, którym emanowało pomieszczenie. Zapach książek i niemal namacalnego zamięłowania, z którym prowadzono to przedsięwzięcie od wielu pokoleń.

– Sophie, moje dziecko, co za uroczą niespodzianka – zawołała staruszka, wyłaniając się zza obszernych regałów.

– Dzień dobry – przywitała się uprzejmie dziewczyna, podając kobiecie odpowiedni wykaz lektur bez zbędnych wyjaśnień.

– Oczywiście, oczywiście – szepnęła jakby do siebie kobieta, a następnie dodała: – Zaraz wszystko skompletuję – uśmiechnęła się i ponownie ruszyła między półki.

Po dziesięciu minutach staruszka wróciła z górą podręczników, trzymanyh w kruchych, pomarszczonych dłoniach. Sophie podeszła do niej, by choć trochę odciążyć jej słabe ciało.

– Dziękuję, kochanie – pani Sullivan weszła za ladę i ruszyła do kasy. – Jak się czujesz? Słyszałam, że byłeś w sypialni... – zaczęła niepewnie, zmartwionym głosem.

– Czuję się świetnie – zapewniła zdawkowo Sophie.

– To bardzo dobrze, bardzo dobrze – powtórzyła zamyślona. – Szkoda, że nie mogłaś pożegnać Stephena. To była piękna uroczystość. Pojawili się wszyscy jego podwładni, była musztra, a później strzały dla uczczenia jego pamięci. Dopiero w takich momentach widzimy, jak bliscy byliśmy otoczeniu...

Sophie nic na to nie odpowiedziała, tylko spakowała zakupy i zapłaciwszy, pożegnała się i wyszła z księgarni. Czuła się dziwnie. Ktoś wspominał jej ojca, ktoś za nim tęsknił, ktoś wciąż go żegnał, a ona przeżyła i czuła się z tym faktem fatalnie, bowiem jej strata nikomu nie zrobiłaby różnicy, podczas gdy każdy wciąż dotkliwie odczuwał brak szanowanego komisarza miejskiej policji.

Stromym zboczem ruszyła na kraniec miasta, gdzie znajdowało się tak zwane miejsce wiecznego spoczynku. Kiedy odchodzisz na zawsze, świat nie płacze za tobą, ponieważ obchodzi to tylko po-

szczególne jednostki. Jednak i one z czasem zapomną, bo co zostanie, gdy mnie już nie będzie?

Po śmierci dziadka, mama, która tak często przez niego płakała, powiedziała jej, że gdy nadchodzi ostateczny koniec, powinniśmy zapomnieć o tym, co dana osoba zrobiła źle i odnaleźć powody, dla których naprawdę za nią zatęsknimy. „Nie możemy wiecznie chować urazy, bo ostatecznie przyjdzie taki czas, kiedy pocujemy zwykłą pustkę, a wtedy zachowam go w pamięci, nie zwracając uwagi na smutną przeszłość” – powiedziała, po czym zgasiła światło. Ale Sophie nie mogła wtedy zasnąć. Wiedziała, że nikt nie jest doskonały, lecz nie potrafiła ostatecznie wybaczać, nie wtedy, kiedy ktoś umyślnie niszczył ją samą, podczas gdy ona liczyła na niego bardziej niż na kogokolwiek innego.

Ze smutkiem dotknęła kamiennej tablicy.

– Naprawdę nie liczyłam, że będziesz genialnym ojcem. Wierzyłam jednak, że będziesz dobrym człowiekiem...

Dziewczyna położyła na grobie białą różę, którą kupiła w kwiatarni, i po chwili ponownie ruszyła ku czarnej cmentarnej bramie. W drodze powrotnej kątem oka przyglądała się mężczyźnie stojącego teraz przy mogile, w której spoczywało ciało Stephena Leftwicha. Ów człowiek przyglądał jej się przez moment, a Sophie mogłaby przysiąc, że wyczytała z jego ust nieme słowa, takie jak „nie” i „koniec”. Bardziej z zaskoczenia niż ze strachu wyszła przez żelazną furtkę i wróciła do domu.

Stojąc naprzeciw wysokiego lustra, podziwiała swoją osobę, próbując jak najlepiej ukryć oznaki zmęczenia. Włożyła granatową sukienkę i sweter w podobnym odcieniu, a rzęsy pogrubiała tuszem. Następnie sięgnęła po tabletki i połknęła dwie, ponieważ wciąż dokuczał jej silny ból głowy, być może od uderzenia w przednią szybę.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała władcym tonem Madeline,

kiedy Sophie schodziła po schodach, próbując upchnąć w torbie potrzebne podręczniki.

- Idę do szkoły – odrzekła zdawkowo.
- Wracaj do pokoju, powinnaś odpoczywać.
- Kuszące, ale... nie.

Matka zlustrowała ją uważnym spojrzeniem, a następnie nawet się nie kłócąc, wzruszyła ramionami i zniknęła w innej części domu. Dziewczyna przyzwyczaiała się już do chłodnego i obojętnego traktowania, dlatego nie zrobiło to na niej wrażenia. Wolnym krokiem ruszyła w kierunku swojego liceum, które znajdowało się dwie ulice dalej. Już pod budynkiem napotkała zdumione i zaintrygowane spojrzenia, ale cierpliwie je ignorowała zarówno w wejściu, na korytarzu, przy szkolnej szafce czy w klasie. Według jej nowego planu pierwszą i ostatnią miała literaturę, dlatego skierowała się do ostatniej klasy w lewym skrzydle budynku i zajęła swoje zeszłoroczne miejsce. Do rozpoczęcia lekcji zostało jeszcze dziesięć minut, dlatego Sophie wyjęła nieskończoną *Opowieść o dwóch miastach* i w skupieniu zaczęła ją kontynuować.

– „A przecież pragnąłem gorąco i nadal pragnę, aby pani zrozumiała, że mnie, garstkę popiołów, rozpromieniła ogniem...” – zaskoczona dziewczyna uniosła wzrok, kiedy przy jej uchu zadźwięczał melodyjny, wręcz uwodzicielski głos. Chłopak, którego ujrzała, z pewnością nie był jej znany. Był wysoki, ciemnowłosy, o niespotykanych oczach – niby niebieskich, ale z plamkami lilowego koloru; okalały je gęste, czarne rzęsy. Tajemniczy nieznajomy wyszczerzył się w uśmiechu, a Sophie musiała przyznać, że był naprawdę przystojny. – Dickens, ładnie – pochwalił, siadając w ławce obok. – Muszę z przykrością stwierdzić, że zajęłaś moje miejsce, ale ponieważ nie stronię od dobrych manier, nie będę ci tego wypominał, zdobywając ławkę króla Arthura.

– Po pierwsze – ta niby twoja ławka jest moją od pierwszej klasy, a po drugie – od kiedy Arthur Smith siedzi obok? – zapytała z udawanym przerażeniem. Wspomniany chłopak był prześladowcą So-

phie od przedszkola, jednakże ona nie odwzajemniała jego uczuć.

– Chyba nie mógł mi się oprzeć – odparł z rozbawieniem.

Dziewczyna tylko przewróciła oczami w geście irytacji i wróciła do lektury. Ponownie nie było dane jej skończyć, ponieważ ni z tego ni z owego ktoś uwiesił się jej na szyi.

– O mój Boże! Witaj wśród żywych – zaczęła pisać jej przyjaciółka Beth. Sophie wciąż nie potrafiła rozgryźć, dlaczego są sobie bliskie, skoro tak wiele je różni. Czasami przeciwnieństwa naprawdę się przyciągają.

– Oddychaj albo pozwól zrobić to mnie...

– I jesteś całkiem miła – odparła zachwycona. – Witaj, Christopher. – nagle ton Elizabeth zmienił się diametralnie, przechodząc w słodki, wręcz kokieteryjny. Sophie uzmysłowiła sobie, że nowy klasowy kolega stał się kolejnym obiektem westchnień jej przyjaciółki.

Niejaki Christopher skinął lekko głową, z uśmiechem nieschodzącym z idealnie wykrojonych ust. Wydawało się jednak, że całą uwagę poświęca Sophie, co ją peszyło.

– Jeśli nie przestaniesz się tak gapić, zaraz dzielę cię książką, przysięgam – warknęła, nie odrywając wzroku od pożółkłych kartek papieru. – Nie jestem jakimś muzealnym eksponatem, to się tyczy również ciebie, Beth... – dodała jeszcze.

– Szkoda tak genialnej powieści – zaznaczył Chris. – Poza tym to Cecilia wywołuje o wiele większe zainteresowanie dzisiejszego poranka.

– Tak, pewnie dlatego, że każdy zastanawia się, czy przypadkiem nie zapomniła włożyć spodni – prychnęła zniesmaczona Elizabeth, po czym ponownie zwróciła uwagę na przyjaciółkę. – Jak się czujesz?

– Nie rób tego.

– Czego? – zdziwiła się.

– Nie pytaj o moje samopoczucie, stan zdrowia ani o mojego kota czy złotą rybkę... Nie znoś litości.

– Ależ Sophie...

– Nie, Beth, nie pytaj.

– W porządku – poddała się, przesuwając okulary przeciwsłoneczne na kasztanowe włosy, by przyjrzeć się przyjaciółce uważnie. – Zaraz, ty nie ma kota ani złotej rybki – zauważyła po chwili. – Nawet twoje kwiaty umarły.

Kącik ust Sophie zadrżał. Beth była inteligentna, ale zazwyczaj z opóźnieniem dochodziły do niej niektóre fakty.

W końcu rozległ się dzwonek, po którym do klasy wkroczył młody mężczyzna przed trzydziestką, ubrany w koszulę w kartę i ciemne dżinsy. Jack Branwell, człowiek z wszechstronnymi zainteresowaniami, jak zwykle wyluzowany usiadł na brzegu biurka i powitał wszystkich szerokim uśmiechem. Sophie bardzo lubiła jego lekcje, ale wiązało się to niekoniecznie tylko z sympatią do nauczyciela, ale i pasją do literatury.

Kiedy zajęcia dobiegały końca, dziewczyna udała się z Beth do łazienki, gdzie ta od czasu do czasu paliła papierosy. Mówiła, że robi to jedynie w stresujących chwilach.

– Podoba ci się Chris, tak? – upewniła się.

– Co? – zdziwiła się.

– Och, przecież słyszałam ten ton przygotowany jedynie „na specjalne okazje” – zacytowała, nieco przedrzeźniając przyjaciółkę.

– Christopher jest niesamowity – zachichotała, dodając po chwili namysłu: – Kiedy pierwszego dnia pojawił się w szkole, nie było dziewczyny, której by się nie spodobał... Umie czarować, do tego jest nieznośnie inteligentny. Ale raczej nie jest zainteresowany...

– Według mnie jest normalny – uznała, wzruszając ramionami.

– Normalny?! – pisnęła niemal z oburzeniem Beth. – Jak to normalny?

Ale Sophie już wychodziła z łazienki.

Na korytarzu zwróciła się twarzą do niej i odparła ze śmiechem:

– Piękny, inteligent, ale zwyczajny.

– Nie jestem aż taki zwyczajny... – wyszeptał ktoś za jej plecami, dlatego Sophie odwróciła się gwałtownie, wpadając na chłopaka z jasnymi włosami, o zielono-brązowych oczach.

– Cieszę się, że już wróciłaś – zapewnił, całując ją w czoło. – Ale mogłaś zadzwonić, kiedy wyszłaś...

– Wolałam zrobić ci niespodziankę – skłamała, ponieważ tak naprawdę nie miała ochoty na spotkania. – Dobrze cię widzieć, Owen.

– Nie wątpię – zaśmiał się, obejmując ją ramieniem. – Cześć, Beth.

– Cześć – odparła automatycznie Elizabeth. Owen Thompson był synem szanowanego i cenionego wśród prawników George'a Thompsona, przyjaciela jej matki. Ich rodzice stwierdzili, że to świetny pomysł zeswatać swoje dzieci ze sobą. Sophie długo się przed tym wzdrygała, wręcz nienawidząc chłopaka, dopóki ten nie przyszedł do niej podczas pewnego przyjęcia, na którym byli również jej rodzice. Opowiedział jej, że też nie zawsze jest akceptowany, że każdy ma według niego oczekiwania, którym nie sprostą, którym nawet nie chce sprostać. I nagle wydał jej się znacznie bliższy, aż doszło do pozornego zakochania albo raczej chęci uzyskania spokoju. Sophie lubiła z nim przebywać, ale wiedziała, że nie ufa mu wystarczająco mocno i z pewnością go nie kocha, nawet jeśli właśnie tego oczekiwał.

– Sophie, musisz koniecznie kogoś poznać – zawołał nagle chłopak. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale tuż przed wakacjami opowiadałem ci, że mój znajomy przenosi się do naszej szkoły...

Tego akurat nie pamiętała, ale mimo wszystko kiwnęła głową w odpowiedzi. Owen pociągnął Sophie w kierunku drugiej klatki schodowej i wyprowadził na tyły szkoły, gdzie wiele osób rozmawiało, siedząc na trawie i wygrzewając się na słońcu.

Owen podprowadził ją do wysokiego ciemnowłosego chłopaka, który właśnie rozmawiał z jakąś dziewczyną. Jej Sophie też nie kojarzyła, dlatego stwierdziła, że to jakaś pierwszoklasistka.

– Hej, stary, to o niej ci opowiadałem... – zaczął blondyn, ściskając Sophie za rękę.

Nowy kolega uśmiechnął się szeroko, ponownie mierząc dziewczynę niepokojącym, wręcz palącym spojrzeniem.

– Cześć, Soph.

Spis treści

Rozdział pierwszy: Garstka popiołów	6
Rozdział drugi: Zatrzymaj mój upadek	18
Rozdział trzeci: Nie musisz się martwić	33
Rozdział czwarty: Przepraszam, że przeszkadzam	47
Rozdział piąty: Droga przez ciemność	60
Rozdział szósty: W środku kadru	73
Rozdział siódmy: Panika w oczach	87
Rozdział ósmy: Płonące światło	100
Rozdział dziewiąty: Szklanki dno	114
Rozdział dziesiąty: Omijając zasady	127
Rozdział jedenasty: Sześć stóp pod ziemią	145
Rozdział dwunasty: Spustoszenie przychodzi z nieba	166
Rozdział trzynasty: Wciąż chodzę modlić się nad rzekę	178
Rozdział czternasty: Weź moje grzechy	191
Rozdział piętnasty: Więcej niż przyjaciele	202
Rozdział szesnasty: Straciłam to, kim jestem	217
Rozdział siedemnasty: Trzymaj mnie mocno	228
Rozdział osiemnasty: Powinienem już iść	237
Rozdział dziewiętnasty: Nikt nie może cię teraz skrzywdzić	249
Epilog: Jesteś moim wszystkim	259